

Erazm Kuźma

Metafory Janusza Sławińskiego

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (28), 27-36

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Erazm Kuźma

Metafory Janusza Sławińskiego

Niech to wyznanie padnie na początku: ja po prostu uwielbiam pisanie Sławińskiego (mówienie też). Sens tego uwielbienia zaraz jednak ograniczę: jest w nim sporo samouwielbienia, bo najzwyczajniej w świecie cieszę się sobą czytającym (słuchającym) Sławińskiego i rozgrywającym z nim własną partię szachów (o czym on, oczywiście, nie wie). W rozgrywce tej radość płynie z rozpoznania związków między ruchami figur, powierzchnią (są na niej figury–metafory) a głębią sterującą figurami, taktyką, strategią. Oczywiście, wygrywam te partie, bo wiem więcej niż „Sławiński”, sięgam poza metafory, poza strategię — do praw ogólnych, do duszy „Sławińskiego”. Idę za jego zasadą wyrażoną metaforycznie (!): tekst powierzchniowy „należy zgruchotać, ażeby odsłonił się utajony sens «głęboki»” (P, s. 30)¹. Posługuję się tu cudzym słowem — metaforą minimalną stosowaną nagminnie w pierwszej książce, by zaznaczyć, że ten cudzysłowowy „Sławiński” jest moim wytworem, a moja wyprawa była „ekspedycją pacyfikacyjną” (P, s. 51), w której ratowałem swoje dobre mniemanie o sobie przez wmówienie, że dotarłem swą ekspedycją do jądra, że nie ma już tajemnicy. Moja

¹ Nawiasowe odsyłacze w tekście oznaczają książki Janusza Sławińskiego: D — *Dzieło, język, tradycja*, Warszawa 1974; K — *Koncepcja języka poetyckiego Awangardy krakowskiej*, Wrocław 1965; P — *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992; T — *Teksty i teksty*, Warszawa 1990. Cyfry po cytatach wskazują strony.

radość wygranej miesza się więc z niewygodną świadomością, że grałem niezbyt czysto, że Sławiński (bez cudzysłowu) szybko dalby mi mata. A może nie? Przedstawię więc zapis tej partii.

Najpierw generalia. Jak mówi Sławiński — retoryka krytycznoliteracka ujawnia system pojęciowy i składnię języka (P, s. 134). Retoryka Sławińskiego zmienia się w czasie, jest więc świadectwem jego wewnętrznych przemian. A wyglądają one tak. Najpierw świat jawił mu się jako napięcie, relacja między przeciwieństwami. Jak przystało na strukturalistę, myślał on o pozycjach, między innymi o pozycjach: dosłowne–metaforyczne. Było to złudzenie. Nie ma takiej opozycji, wszystko jest metaforyczne, także mówienie o metaforze może być tylko metaforyczne. Struktura — podstawowa kategoria stosowana w pierwszej fazie — jest też metaforą, jak wszystko inne, tyle że abstrakcyjną. Sławiński traktował ją jednak jako *sui generis* rzeczywistość, którą można przybliżyć metaforą ukonkretniającą. Poza strukturą istniał jeszcze „świat” pisany w cudzysłowie (np. K, s. 49), a więc jako minimalna metafora; w Grenadzie była już zaraza, tyle że otoczona jeszcze kordonem sanitarnym mowy dosłownej, niecudzysłowowej, heterotelicznej.

Inna opozycja tego czasu to zewnętrżność–wewnętrzność, mająca zresztą ścisły związek z opozycją poprzednią. Sławiński, idąc za wzorami badanych przez siebie awangardzistów, wycofywał się ze swego „ja” w „my”, panujące niepodzielnie w książce *Koncepcje języka poetyckiego Awangardy krakowskiej*. To, co w niej pisze na ten temat, można odnieść i do niego, a pisze tak: „Awangardowy wzorzec «ja» lirycznego wyrósł w zdecydowanej opozycji do koncepcji poety jako człowieka pierwotnego. Było to «ja» komunikujące swoje oddalenie od żywiołowości i pierwotności przeżyć. «Ja» wstydliwie zacierające ślady, które mogłyby wskazywać drogę do «życiowego» uczucia leżącego u podstaw wypowiedzi” (K, s. 152). Budowanie dystansującego języka, próba dosłowności, posługiwanie się zaimkiem w liczbie mnogiej — to było owo „wstydliwie zacieranie śladów”.

I jeszcze jeden typ opozycji rządził pierwszą fazą: serio–ludycznie. Sławiński pisał serio. W takim pisaniu metafora zagraża elementem zabawowym, zagraża fortunności wypowiedzi, jak twierdzą teoretycy aktów mowy.

Ale, jak powiedziałem wyżej, zaraza już była w Grenadzie, a później ogarnęła to, co było poza murami: znieprawiała metajęzyk, ujawniała

«ja» liryczne, podważyła naukę (a w każdym razie teorię). Najlepiej to widać, gdy porównuje się rozsypane w czasie przeszło dwudziestu lat artykuły poświęcone zbliżonej tematyce, na przykład interpretacji: *O problemach sztuki interpretacji* (1966), *Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego* (1976), *Uwagi o interpretacji (literaturoznawczej)* (1987). Narasta w nich świadomość, że od metafory nie ma ucieczki jak tylko w inną metaforę i że dyskurs krytycznoliteracki też jest autoteliczny (D, s. 221). Może to nawet nie jest pierwszy krąg, który Sławiński zatacza (od serio do ludyczności i z powrotem, od dosłowności do metaforyczności i z powrotem), bo w jednym z autobiograficznych wspomnień (T, s. 205 i n.) powiada, że też uległ ukąszeniu heglowskiemu, też tańczył w objęciach Edzia. Posługując się tu metaforami stosowanymi przez Sławińskiego w szkicu o Andrzeju Walickim, zatytułowanym *Jeszcze jeden ukąszony, choć poranek świta*. Sławiński został jednak ukąszony ciemną nocą, nie o poranku, o poranku to on już się śmiał, ale zjadliwość, z jaką pisze o Walickim, zdaje się świadczyć, że liże własne rany. Wracam do wspomnianego wyżej szkicu: czytamy w nim, że kryzys wiary w „nowe literaturoznawstwo” (oczywiście — marksistowskie) wyraził się w jego parodiowaniu, pastiszowaniu. „Takie były ludyczne początki kryzysu legendy” (T, s. 210). Później w ludyczności rozplynęła się legenda strukturalizmu, który pierwotnie miał być lekarstwem na marksizm. Kiedy Sławiński w *Zwłokach metodologicznych* pisze o „wzrastającym znaczeniu pierwiastka l u d y c z n e g o w działaniach humanistów” — pisze też o sobie, a też i o swej ewolucji: pierwotnie element ludyczny był „utajony w cieniu zadań poważnych i odpowiedzialnych — ugruntowania Wiedzy, docierania do Prawdy, propagowania Dobra. Dla sytuacji obecnej znamieną jest natomiast ludyczność nie skrywana, a nawet drażniąco ostentacyjna” (T, s. 43). To pierwsze — to książka o Awangardzie krakowskiej; to drugie — to pisma z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Teza, że Sławiński oscyluje między biegunami dosłowności i metaforyczności jest do podważenia dwoma sposobami. Najpierw ukazaniem, że dosłowność jest nieświadomie metaforyczna, o czym już mówiłem, później — że świadomie stosowane metafory zawsze istniały w dyskursie Sławińskiego. Tak, ale na początku jest ich niewiele, trzymane są w ryzach, dopiero później rozmnożą się tak, że ich ilość sprawi, że dyskurs przejdzie w nową jakość — jakby powiedzieli kla-

sycy (marksizmu). Bo jest tak, że ze swoich doświadczeń społecznych, które nieuchronnie werbalizują się w metaforach konkretnych, buduje Sławiński wielką abstrakcyjną metaforę struktury hipostazowaną jako nauka o świetle (od praktyki do teorii, od teorii do praktyki — ach, ci klasycy!). W tej wielkiej metaforze zdarzają się jednak pęknięcia, ukazujące materiał z jakiego jest ona zbudowana: małe metafory konkretne. Jeśli one przedarły się przez cenzurę wewnętrzną, to znaczy, że są to metafory obsesyjne (jak twierdzi Charles Mauron), przynależne do mitu osobistego, metafory zakotwiczone w genotypie.

Jakie one są? Powiedzmy najpierw ogólnie, że wszystkie metafory odnoszą się albo do relacji przestrzennych, albo do czasowych, albo mieszanych. Wielką metaforę struktury — zdawałoby się — najlepiej budować małymi metaforami konkretnymi odnoszącymi się do relacji przestrzennych. Uczni w piśmie twierdzą, że w ogóle relacje przestrzenne są prymarne, a i Sławińskiego kusi hipoteza, że opis, a więc to, co przestrzenne, jest bardziej elementarne niż opowiadanie, a więc to, co czasowe (P, s. 196). A jednak metafora odnosząca się do relacji czasowych jest częstsza, metafora działania, akcji, która w późniejszych tekstach Sławińskiego rozwinie się w narrację, w anegdotę, w fabułę. Bo metafora to fabuła w miniaturze (tak pisze Paul Ricoeur), te metafory musiały więc w końcu rozsadzić strukturę.

Najwyższy czas, aby dać parę przykładów z pierwszej książki Sławińskiego. Otóż są to przykłady odwołujące się do gier wojennych i gier społecznych. Pisanie pracy, to „osaczenie tematu”. Poetyka Peipera, to „regulamin działań poetyckich”. Istotą poezji awangardowej jest „«akcja» rozgrywająca się wśród znaków i znaczeń językowych”, „wzajemnie przymuszają się jakby do wieloznaczenia”, słowa „tłoczą się i rozpychają”, metafory stwarzają „nowe przewody dla przepływu «energii» semantycznej”, chwytby składniowe są „środkami rozruchu znaczeń”, klipsa „tnie strumień przedstawię”, „interesy obu stron (składni i metrum) są skłócone”, poemat awangardowy jest „ucieczką od wiadomości zerowych”, zdarzenia w poezji Przybosia „stanowią nieustanną agresję wobec sprawdzianów empirycznej oczywistości”. To wszystko przeciwstawia się na przykład poezji dadaistów czy surrealistów, w której znaki „stanowią zbiór całkowicie demokratyczny: wszystkie jego elementy są zrównane w prawach” (K, s. 7, 17, 38, 47, 67, 69, 74, 77, 83, 115, 138, 153).

Metafora gier społecznych i gier wojennych przerodzi się w małe nar-

racje, na przykład w szkicu *Z poradnika dla doktoranta* (T, s. 77) czy w *Zwłokach metodologicznych*. Tutaj w narracji włożonej w usta metodologa pada porównanie jego pracy do wytwarzania narzędzi stosowanych do określonego działania (T, s. 38). To pociąga za sobą następną metaforę — spożytkowania tych narzędzi do budowy, jednak

[...] budowli jakoś nie widać, ale za to placów budowy nieustannie przybywa. Na każdym ruch i krzątaniu: jedni znoszą sprzęt, drudzy go segregują, inni ustawiają gdzie trzeba, a jeszcze inni skrzętnie wszystko zapisują na specjalnych formularzach. I oto ulica złożona z samych placów budowy. I oto miasto złożone z takich ulic. Byłby to stosunkowo trafny wizerunek dzisiejszej humanistyki. Ale projektanci i budowniczowie przyszłych pałaców sami muszą przecież gdzieś mieszkać. Wokół placów budowy wyrastają prowizoryczne budki, baraki i lepianki. W tych byle jakich pomieszczeniach toczy się prywatne życie projektantów i budowniczych [T, s. 42].

Kulminacją jest narracja pierwszoosobowa kontynuująca metaforę:

Spoglądam przez okno: są! moi dobrzy znajomi. Widzę ich nieomal codziennie. Rozsypani w małowicznej grupce na zrytym przez buldożery placyku osiedlowym. Niby w zespole, a przecież każdy oddzielny — zatopiony w sobie, oparty o łopatę, zastygły jakby w gotowości do wykonania nią pierwszego ruchu. Nie rozglądają się ciekawie wkoło, jak beczelni próżniacy; przeciwnie: są boleśnie skoncentrowani. Nie ma w ich postawie luzu właściwego ludziom odpoczywającym po wysiłku. Bo też nie odpoczywają — nie mają po czym. Praca ich dopiero czeka — powinni wykopać rów. Mijają godziny, dni, tygodnie, pory roku — a oni (ci sami? inni?) w nie zmienionych pozach, dokładnie tam gdzie poprzednio, w osobliwym bezruchu. Trwają. Ich powstrzymywanie się od podjęcia działań, na przekór wszelkim sprzyjającym okolicznościom, graniczy już z prawdziwym heroizmem” [T, s. 43–44].

Dalej nastąpi przezabawna refleksja na temat narzędzia — łopaty i jednostki kopania — „kopemu” — ale ważniejsze jest co innego: powoli nad całą narracją metaforyczną nadbudowuje się drugie piętro: w symbolu człowieka opartego o łopatę wbity w ziemię i dumającego nie wiadomo o czym zrównany został wyrafinowany metodolog i niewykwalifikowany robotnik.

Nie mogę opisać wszystkich metafor, skupię się na jednej, obsesyjnej, generującej wiele innych, a może nawet wszystkie — jest to metafora enklawy, rezerwatu, getta. Rodzi ona przede wszystkim metafory ruchu: z jednej strony dążenia, by wejść do środka, być w nim; tak powstają metafory wyprawy, akcji pacyfikacyjnej, podboju, agresji. Z drugiej — ruchu odśrodkowego; tak powstają metafory ucieczki, wędrówki, błędzenia. W książce o Awangardzie krakowskiej owym rezerwatem jest „język w języku”. Wprawdzie awangardiści

tworzyli „język w języku” po to, by wyjść z getta literatury i działać na społeczeństwo, ale Sławiński — w pełni świadomy tego dążenia — powiada, że te sprawy „znajdują się poza granicami zainteresowań” jego pracy. Pierwsza książka jest więc osaczeniem i podbojem rezerwatu, próbą zainstalowania się w nim. Znamienna jest w tym działaniu swoista mimikra: wbrew metodologicznym założeniom rozdzielenia języka opisu od języka przedmiotu, Sławiński wybiera mowę pozornie zależną (por. *Zamknięcie*); jest ona jakby glejtem do rezerwatu, daje w nim prawo obywatelstwa czy — używając innej ulubionej przez autora metafory — mundurem obowiązującym w rezerwacie. Mundur ten zresztą leży jak ulał na Sławińskim, nie tak jak mundur socrealisty na Różewiczu, o czym autor pisze gdzie indziej (T, s. 100).

Wkrótce jednak ten rezerwat coraz bardziej będzie przypominał więzienie. Ten, i wszystkie inne tworzone w okresie realnego socjalizmu. Innym rezerwatem była poezja wyzwolona z przymusów socrealizmu. „Pejzaż mowy publicznej w czasach «późnego Gomułki» był w najwyższym stopniu przygnębiający. I w tym posępnym krajobrazie nagle jakaś dziwna enklawa barwności: poezja!” (T, s. 106). Ale w tej enklawie, w tym rezerwacie poeci poruszali się na zasadzie wolności warunkowej, udawali normalność — „Wiemy bowiem, jak wygląda naturalność zachowań kogoś, kto konwojowany przez strażników, skrywających broń za pazuchą, usiłuje imitować ruchy zwykłego spacerowicza” (T, s. 111). Jednak życie rezerwatowe było bujne!

Poezja rodziła się z poezji i zapładniała poezję. Pojawiały się coraz to nowe programy, poetyki, kierunki i środowiska; krowano i obalano autorytety; spierano się o granice wyobraźni, o semantykę poetycką, o klasycyzm i romantyzm, o to, czy twórczości służy bardziej wampiryzm czy onanizm, o kryzys awangardy, o poezję konkretną — i o wiele innych nie mniej ciekawych spraw. Jak w każdym rezerwacie, tak i tu współżyli przedstawiciele rozmaitych gatunków: starzy olimpijczycy, zatroskani moraliści, wyrafinowani esteci, brutalniści, poeci metafizyczni, chłopscy nadrealiści, konceptyści, retorzy, prostaczkowie, lirycy czystej krwi, poeci przekłęci, poeci uniwersyteccy, poeci alkoholicy, poeci moralnego niepokoju, i przede wszystkim: młodzi poeci jako gatunek osobny i swoiście rezerwatowy [T, s. 112].

Jasne, że była też krytyka rezerwatowa, jednak „tylko niclicznym egzemplarzom dane było znaleźć się w rezerwatach, gdzie je dokarmiają i pokazują wycieczkom (*vide* Sandauer). Można jednak żywić uzasadnione wątpliwości, czy umieszczenie w rezerwacie nie przekwalifikowuje ich równocześnie pod względem gatunkowym” (T,

s. 168–169). W rezerwacie byli też literaturoznawcy, cały IBL był takim rezerwatem zarządzanym przez *Godfathera* – Stefana Żółkiewskiego (T, s. 230). To był rezerwat dla wycieczek zagranicznych, które nie mogły się nadziwić, że panuje w nim taka swoboda myśli.

To im często pozwalało nie zauważyć prowincjonalnego zadupia otaczającego takie wyspy, paranoicznych poczynań cenzury czy policyjnych prześladowań za wypowiedanie nie akceptowanych poglądów. Doprawdy, żyliśmy w rezerwacie, chociaż sami nie w pełni zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Instytut był rezerwatem, co zresztą wcale nie umniejsza znaczenia jego osiągnięć. [...] Żyjący w rezerwacie musieli znać granice swoich swobód i wiedzieć, że przekroczenia nie będą tolerowane. Za ogrodzeniem kręcili się faceci z fuzjami, którzy przypominali, że nieposłusznym czy krnąbrnym mogą w każdej chwili zrobić pif-paf i zabawa się skończy [T, s. 233–234].

Z życiem rezerwatowym nieodłącznie jest związane poczucie sztuczności, nierzeczywistości tego życia. Toteż metafora rezerwatu generuje metaforę teatru, sceny, aktorstwa, odgrywania ról, a przede wszystkim – przebieranek. Najczęściej mowa o wdziwaniu munduru jakiejś formacji, nadawania sobie szarż, wyróżniania się jakimś elementem stroju: „Jeden włoży pepegi do fraka, drugi krakuską dopełni urzędniczy garniturek, jeszcze inny pasem słuckim ściśnie płaszcz ortalionowy” (T, s. 168). Tak wyróżniali się krytycy. Grali swe role także teoretycy, metodologowie, tylko sami nie wiedzieli, jaka to sztuka: „tragedia losu? komedia omyłek? *thriller*?” (T, s. 18).

Co jednak dzieje się dzisiaj, Anno Domini MCMXCIV, z rezerwatem, skoro nie ma już „facetów z fuzjami”, nie ma już państwa realnego socjalizmu, które go utrzymywało, teraz, gdy wszystko wolno? Nie wydaje się, by Sławińskiemu było lżej. Zdaje się, że dochodzi on do wniosku, że rezerwat jest wszędzie. Już odczuwa on niedogodność zamknięcia w dyscyplinie humanistycznej, w literaturoznawstwie, w teorii literatury i nadgryza to zamknięcie ludycznymi metaforami, draży krecią robotą fabularyzacji.

Teraz więc nie metafora osaczenia, ataku, agresji, wyprawy pacyfikacyjnej będzie dominowała, lecz metafora ucieczki, błędzenia, wędrówki. Podoba się więc Sławińskiemu Jan Błoński, który – wolny od zobowiązań teoretycznych – „Wędruje na przełaj przez najrozmaitsze krainy: literatury i stylów myślenia o literaturze. Zatrzyma się to tu, to tam, rozejrzy się po okolicy, pokosztuje miejscowych specjałów, poduczy się języka tubylczego – i ruszy w dalszą drogę” (T, s. 170). Podoba mu się też Roman Zimand, „który niczym nałogowy grzybo-

zbieracz, na każdym kroku spostrzega przychylnę okazję. Gdziekolwiek spojrzy — uśmiecha się doń wyczekująco borowik... Ale pośledniejszym gatunkom też nie przepuści” (T, s. 183). I jak przystało na escistę: „W swoich wędrówkach wybiera on drogi odległe od uczęszczanych autostrad życia umysłowego (literackiego, politycznego, akademickiego); zależy mu na samym wędrowaniu, nie na zdążaniu ku standardowym celom” (T, s. 182).

Podobną wędrówkę–ucieczkę rozpoczyna też Janusz Sławiński: escystyczność jego tekstów, metaforyzacja i fabularyzacja są tego dowodem. Ale i działania społeczne! Zaangażowanie polityczne, społeczne, organizacyjne, próby reformowania programów szkolnych — dają temu świadectwo. Jeszcze więc jedna metafora z wypowiedzi dotyczącej tej ostatniej sprawy. Sławiński chciałby programu „na wzór owych najbardziej upragnionych mieszkań nowoczesnych, w których użytkownik może — na ustalonej powierzchni — komponować samodzielnie z lekkich, przesuwalnych ścian wnętrza odpowiadające jego potrzebom i upodobaniom” (T, s. 70). Zauważmy: tu już jest jakby zgoda na rezerwat — pewna przestrzeń jest ustalona i przekroczyć jej nie można, chodzi tylko o to, by swobodnie żyć w jej obrębie. Możemy więc przewidzieć następny ruch Sławińskiego na szachownicy, a właściwie dwa możliwe ruchy. Pierwszy: uzna on, że rezerwat istnieje w każdym ustroju, bo w każdym jest jakaś władza, która intelektualistów trzyma w rezerwacie. Píše o tym Abraham Moles, mający za sobą przecież inne doświadczenia: władzy demokratycznej i uczestnictwa w społeczeństwie obfitości. I w nim istnieje getto dla intelektualistów: „starannie administrowane przez technokratów, którzy pozwalają, aby panował w nim kontrolowany nieład, godzący sprawne funkcjonowanie sieci wodociągowej z nadrealizmem seksualnym i umiarkowaną przestępczością”. Technokratom bowiem zależy na intelektualistach, ich wartością, niezbędną dla właściwego funkcjonowania społeczeństwa, jest „subwersja — (aby tworzyć, trzeba być «przeciw») — starannie podsycana przez procent zawartości adrenaliny we krwi, to znaczy przez oburzenie”. I w getcie kapitalistycznym istnieje wyraźna hierarchia w zależności od stopnia sprostytuowania się. Na dole piramidy są ci, których Żółkiewski określiłby jako techników kultury. Píše o nich Moles: „Są oceniani i wynagradzani wedle posiadanego talentu, a wielkość ich łazienki zależy od przydatności ich uzdolnień twórczych do potrzeb społeczeństwa”. Na

wyższych szczeblach rezydują ci, „którzy się sprzedali za zaszczyty i poświęcili Służbie Publicznej”. Ceną jest zgoda na konformizm, „noszenie krawata, ale może to być krawat ze wstążki czerwonej, i to niekonicznie Legii Honorowej”. Na szczytach są ci, „co nawet na stanowisku Director of the Institute for Advanced Studies in Princeton zachowali długie włosy i geniusz”.²

Drugi ruch byłby chyba ciekawszy i prowadziłby do interesującej końcówki (pierwszy zapowiada sytuację patową). Byłoby nim wyrzucenie się metafory rezerwatu, wszelkiej metafory. Na przykład unicestwienie jej przez ujęcie w cudzysłów: metafora zmetaforyzowana – to byłoby coś w rodzaju różni niszczącej wszystko. Bo metafora, meta-język są możliwe tylko w granicach meta-fizyki (będę tu przez chwilę heideggeryzował w duchu rozprawy *Das Wesen der Sprache* z tomu *Unterwegs zum Sprache*, podobnie jak metoda, wiedza, logika, myślenie opozycjami, wszystko, co sprowadza świat do policzalnego. Opozycja dosłowne-metaforyczne jest złudą, skoro prawdziwe doświadczenie mowy uczy nas, że mowa nie jest narzędziem, lecz domostwem bycia. Doświadczenie, które nie tworzy wiedzy, lecz sprzyja myśleniu. Nie ma metafory, bo nie ma opozycji, jest natomiast bliskość tego, co na-przeciw-pomad (*Gegen-einanderüber*), tego – co jest światoschwórczeniem (*Weltgevierte*) ziemi-nieba-człowiecka-boga. Bliskość zaś nie znaczy odległość, lecz u-drożenie (*Be-wägung*) wszystkiego, co tworzy na-przeciw-pomad, nie ma więc szczeliny, w którą metafora mogłaby się wcisnąć. Może nawet Sławiński zdążył do tej calizny, skoro już na początku wyrzekł się metajęzyka, skoro dzisiaj kpi z metodologii, skoro wstąpił w esej. Musiałby jednak wyrzec się jeszcze tego wszystkiego, co pisał o metaforze w pierwszej książce.

Tu porzucam ten styl myślenia, by – spełniając początkową zapowiedź – wyjawić tajemnicę „Sławińskiego” kryjącą się za powierzchnią, za metaforą rezerwatu. Co znaczy to pragnienie by wejść do rezerwatu, a później się z niego wyrwać? Ten odruch dośrodkowy i odśrodkowy? Zamknięcie i otwarcie? Wszystko to zakorzenione jest w archetypic odrodzenia (teraz przez chwilę będę jungizował

² A. Moles *Artysta i intelektualista w społeczeństwie obfitości*, przeł. W. Bieńkowska, w: *Antologia współczesnej estetyki francuskiej*, przedmowa W. Tatarkiewicz, wstęp oraz noty o autorach J. Wojnar, Warszawa 1980, s. 513–514, 519, 520.

w duchu rozprawy *Odrodzenie* z tomu *Archetypy i symbole*). Sławiński wchodzi do rezerwatu, by go przekroczyć, przyjmuje maskę–personę (na przykład teoretyka, metodologa), by ją odrzucić, by być wolnym. I to metafora, mówię teraz o metaforze w ogóle, jest tym czynnikiem, który pozwala się wyrwać z tego, co dane, wejść w inny paradygmat i na jego podstawie budować nową syntagmę. Ale jaką? Wydaje się, że w tej chwili Sławińskiemu chodzi o to, by być wolnym „od”, ale nie wiadomo, do „czego” jest on wolny, czemu on powie swoje „tak”. To jest problem Zaratustry z przypowieści o *Trzech przemianach* – ciągnijmy więc ten wątek dalej. Potęgująca się ludyczność, anegdotalność, fabularyzacja tekstów Sławińskiego – to jeszcze nie śmiech i taniec Zaratustry, raczej taniec linoskoczka, którego chętnie ogląda zebrana gawiedź, znudzona przypowieściami proroka nadczłowieczeństwa.

Powiedziałem, że metafora pozwala Sławińskiemu przeskoczyć do innego paradygmatu i za jego pomocą budować nową syntagmę. Myślę więc, że oprócz dwóch możliwych pociągnięć na szachownicy: uznania niezbywalności rezerwatu albo zniesienia sensu metaforyzowania – jest jeszcze trzecie – zburzenie szachownicy literaturoznawczej i przejście do zupełnie innej gry.

Cokolwiek jednak Sławiński zrobi, nigdy nie będzie tak zwanym wielkim humanistą. Żeby nim zostać, trzeba być trochę ograniczonym. Sławiński zaś jest pickielnie inteligentny.